chętnie kupilibyśmy – na szczęście handlarze nie są specjalnie natarczywi, więc udaje się nam ich spokojnie mijać nie robiąc sobie przy tym dziury w portfelu. Po spacerze docieramy do głównego placu, który teraz robi smętne wrażenie (w nocy prezentuje się znacznie bardziej okazale). Odwiedzamy nasze ulubione budki z sokiem pomarańczowym i udajemy się na pocztę – najwyższy czas wysłać kilka kartek. Wracamy na plac i obserwujemy różne dziwactwa – po placu kręci się wielu przebierańców pozujących do zdjęć za niewielką opłatą. Jest też kilku zaklinaczy węży (mamy okazję zobaczyć taniec prawdziwej kobry, ale na zbliżenie się do niej nie wystarcza nam odwagi). Kilka kobiet oferuje tatuaże. Mijamy też dwóch dziwaków oferujących ludzkie zęby (i jak się nam wydaje – sztuczne szczęki zrobione z prawdziwych zębów – zgroza). Wracamy na bazary – musimy kupić kilka pamiątek. Pierwszy stragan, przy którym zatrzymujemy się, oferuje szale, chusty, etc. Gosia chce kupić na pamiątkę turban, a ja robię za manekin. Przymierzam śliczny turban w kolorze indygo, który chcemy zakupić, ale sprzedawca zaśpiewał sobie 40 Euro, czym bardzo rozeźlił Gosię – daliśmy sobie z nim spokój. Chwilę później podobny kupujemy za 5 Euro na innym straganie. U lokalnego rzeźbiarza kupuję też dwie figurki wielbłądów – jedną dla mnie, drugą dla mojego krasnalka.

Trafiamy do Medresy Ali Ben Jusufa. Jest to jeden z najciekawszych muzułmańskich zabytków Marrakeszu, w doskonałym zresztą stanie, który jest udostępniony do zwiedzania. Medresa jest to szkoła koraniczna. Wewnątrz można podziwiać wspaniałe zdobienia ceramiczne i drewniane. Jest tu wiele małych pokoi dla uczniów szkoły, znajduje się tu również wiele malutkich (ale bardzo uroczych) dziedzińców i zakamarków. Efektowne są nawet toalety zlokalizowane w dawnym pomieszczeniu do ablucji.

Gdy wyszliśmy z medresy, zgarnął nas pseudo-przewodnik oferujący wycieczkę do garbarni. Dotarliśmy do dzielnicy, w której znajduje się kilka z nich. Mieliśmy okazję jedną zwiedzić. Nie są to specjalnie zachęcające miejsca – jeden wielki syf i smród (na tyle wielki, że zaoferowano nam świeżą miętę do przytknięcia do nosa). Niemniej, mamy okazję podejrzeć, jak przygotowuje się skórę do dalszej obróbki – mijamy kadź, w której najpierw trawi się skóry, a później barwi. Wg danych kolejnego przewodnika (jeden przyprowadza, drugi oprowadza) w garbarni pracuje ok. 40 berberyjskich rodzin (!!!). Jest to ciężka robota. Przewodnik zaprowadził nas do sklepu, gdzie zostaliśmy niemalże zmuszeni do zakupu pięknego kilimu. Wprawdzie udało się nam wynegocjować cenę z 3500 DH do 735 DH, ale wychodząc i tak mieliśmy wrażenie, że sporo przepłaciliśmy. Wracamy do Dżemaa El-Fna, skąd – po szklaneczce soku pomarańczowego – jedziemy taksówką na popołudniową „drzemkę" do hotelu. Przerwa była nam potrzebna. W końcu jesteśmy już dość długo w podróży. Nie wysiedzieliśmy zbyt długo w hotelu i, jak tylko zaczęło zmierzchać, wróciliśmy do centrum. Nocne życie w Marrakeszu nam się spodobało, więc wróciliśmy na kolejne porcje soku pomarańczowego oraz kolację.

Gdy rankiem wyszliśmy z hotelu, dało się zauważyć, że w nocy mocno padało. „Dyskoteka" po deszczowej nocy pod hotelem była bardziej brudna niż po trzech dniach ostrej jazdy po pustyni. Z Marrakeszu kierujemy się na Ouarzazate (Wazarat). Wg mapy jest to kolejna piękna, górska droga. Na szczęście poranek jest bardzo pogodny, więc

jazda nie jest specjalnie męcząca. Dopiero kilkadziesiąt km za Marrakeszem droga robi się typowo górska. Mijamy handlarzy oferujących górskie minerały. Decydujemy się zatrzymać przy jednym z przydrożnych straganów – w końcu są to całkiem miłe pamiątki. Trafiamy na bardzo spokojnego, uprzejmego starszego pana, który ceny wyjściowe podaje na bardzo rozsądnym poziomie. Bez większych targów kupujemy kilka kamiennych figurek, glinianych miseczek i jeden kryształ kobaltowy (cokolwiek to znaczy). Zadowoleni ruszamy dalej. Droga zaczyna ostro piąć się pod górę. Męczącą jazdę rekompensują fantastyczne widoki. Cała droga jest przepiękna – mijamy wiele malowniczych, berberyjskich wiosek, a także mamy przyjemność obserwować piękne, ośnieżone szczyty Atlasu Wysokiego. W końcu docieramy do najwyższego punktu drogi – do przełęczy Tichka (wysokość 2260 m n.p.m.). Kolejny odcinek to ciągły zjazd w dół, aż do samego Ouarzazate. Tu robimy postój. Stajemy w pobliżu malowniczej kazby i ruszamy na jej podbój. Cała kazba składa się z trzech części – twierdzy, małej wioski i kamiennego miasteczka. Spacerujemy wąziutkimi uliczkami podglądając codzienne życie mieszkańców oraz opędzając się od pseudo-przewodników. Na zakończenie zatrzymujemy się jeszcze w lokalnej restauracji na mały posiłek.

Ostatni odcinek drogi między Ouarzazate a Tinhirem pokonujemy prawie bez przerwy, w dość trudnych warunkach pogodowych: mocno wieje i zaczyna padać deszcz. Prawie, bo gdzieś w połowie drogi dopada nas zmęczenie i na pustkowiu zatrzymujemy się na godzinną drzemkę. Pokrzepieni krótkim snem docieramy do Tinhiru, za którym w jednej z wiosek na drodze prowadzącej do przełomów Todry znajdujemy sympatyczny i cichy hotelik. Po zakwaterowaniu zostajemy zaproszeni przez właściciela hotelu, Hasana, na herbatę, przy której wymieniamy się wrażeniami z podróży oraz słuchamy informacji m.in. o kulturze berberyjskiej. Jedyny mankament tego miejsca to bardzo niskie temperatury – na zewnątrz wieczorem było poniżej 10°C.

Dzisiejsza noc była wspaniała. Zimna jak diabli, ale wyspaliśmy się tak dobrze jak nigdy. Podjeżdżamy „Dyskoteką" pod sam wąwóz, gdzie zostawiamy ją na parkingu i ruszamy w góry. Jest bardzo zimno. Zmierzyliśmy w samochodzie temperaturę – na zewnątrz było raptem 7°C. I to ma być Afryka? Ubieramy się we wszystko, co tylko mamy i pewnie wyglądamy zabawnie. Ale temperatura i silny wiatr zabawnymi nie są.

Mijamy malowniczy wąwóz i ruszamy ostro pod górę. Pejzaże mamy istnie tatrzańskie. Góry w tym miejscu pozbawione są niemalże roślinności. Hasan prowadzi nas pewnie, jakimś cudem cały czas odnajdując drogę, której my przeważnie nawet nie zauważamy. Dawno już nie byliśmy w górach, kondycja nasza dała nam się we znaki. Po dwugodzinnym marszu docieramy do przełęczy. Po drodze przyglądamy się pracy pasterskiej – owce są wypasane na stromych stokach. Jak one wśród skał i kamieni wynajdują cokolwiek do jedzenia, pozostanie dla nas zagadką. Podobnie jak sposób, w jaki utrzymują równowagę na takich pochyłościach.

Po odpoczynku ruszamy dalej – przewodnik prowadzi nas do zagrody nomadów. Tutaj możemy przyjrzeć się życiu lokalnej koczowniczej ludności – jest to strasznie surowe, biedne i bardzo trudne życie. Mieszkają pod płachtami próbującymi przypominać namioty, na dużych wysokościach, w dużej odległości od wioski (dobrym truchtem idzie się ponad dwie godziny), pozbawieni prądu, wody, a także jakichkolwiek wygód. Nawet wodę noszą w bańkach ze wsi.

Wiatr się już uspokoił, więc pogodę mamy niemalże idealną do wędrówki. Hasan zrywa jakieś ziele i daje nam powąchać. Mówi przy tym, że jest to popularne ziele do parzenia aromatycznej herbaty. Zapach ma bardzo intensywny, Gosia twierdzi, że jest podobny do tymianku. Gosia postanawia zabrać jedną gałązkę z korzeniami do Polski (a niech mama posadzi sobie „toto" na działce), ale nasz przewodnik tak gorliwie zaczął wyrywać kolejne kolonie ziela, że w sumie uzbierała się tego cała miska. Miejmy nadzieję, że dotrwa to do Polski i przyjmie się u nas na działce.